



Mirosław Derecki

## LUBELSKIE LATA EDWARDA STACHURY (2)

Spotkanie autorskie, o przygotowaniach do którego pisałem w poprzednim odcinku, odbyło się ostatecznie w jednej z sal Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Za stołem „prezydialnym” siedzieli m.in. poeci: Henryk Pająk i Zbigniew Strzałkowski, na widowni znalazła się cała masa poetyckiej młodzieży ze Zbigniewem Zaborowskim, Edwardem Stachura oraz Andrzejem Tchórzewskim na czele; był chyba także Jarzy Klechta, późniejszy redaktor naczelny „Radaru”. Cały ów mityng odbywał się pod opiekuńczym okiem przyjaciela artystycznej młodzieży studenckiej, nieżyjącego już dr. Konstantego Turowskiego, prawnika z wykształcenia, pracującego w administracji uniwersyteckiej.

Niestety, piękne i szczytne założenia wieczoru spaliły na panewce. Zamiast „sycić się” wzajemnie poezją, poszczególni młodzi poeci zarzucali sobie nawzajem plagiaty, a Tchórzewski wołał wielkim głosem, żeby niektórzy, zamiast pisać wiersze, poszli lepiej na wieś sadzić buraki cukrowe!

W następnych miesiącach na uniwersytecie wydarzyła się jeszcze jedna historia, która dodatkowo rozżarzyła „złą legendę” Stachury. Otóż pewnej nocy Sted ograł w pokera do ostatniej nitki, niejakiego Rysia X, zwanego powszechnie „Filozofem”. A ten, całkiem nie po męsku, poszedł za skargą do prorektora Zdzisława Papierkowskiego, prosząc, aby spowodował on zwrot przegranych pieniędzy oraz zegarka. Reakcja Papierkowskiego była natychmiastowa: „Jeśli pan był taki głupi, żeby grać w karty i jeszcze z takim, który potrafi lepiej od pana, to ma pan tylko jedno wyjście: zmądrzeć przed następnym razem!” I tak Profesor sprawę zamknął...

Drugim wydarzeniem, nie tyle artystycznej miary, ile skandalizującej natury, był pierwszy w Lublinie

### **wieczór autorski Stachury.**

Zorganizowano go chyba w ramach działalności kulturalnej Zrzeszenia Studentów Polskich i – jako swoiste „echo” jesiennego poetyckiego spotkania na KUL-u - odbył się on na początku 1959 r. w studenckiej kawiarni „Piwnica” na Starym Mieście. Sted był wtedy jaszcz przed swoim poetyckim debiutem na łamach „Kamień”.

W środowym numerze „Sztandaru Ludu” (z 18 lutego 1959 r.) ukazała się na ostatniej stronie dobrze wyeksponowana, ujęta w ramkę, notatka: „Wieczór autorski Edwarda Stachury. Dnia 18.II.1959 r. o godz. 16.00 w lokalu klubu-kawiarni „Piwnica” na Starym Mieście odbędzie się wieczór autorski Edwarda Stachury. Młody poeta odczyta nie drukowane wiersze oraz fragmenty prozy poetyckiej. Klub zaprasza wszystkich chętnych do wzięcia udziału w wyżej wymienionym wieczorze”.

Podejrzewam, że był to w ogóle pierwszy w życiu oficjalny wieczór autorski Steda. Niestety, wypad on zupełnie odmiennie od tego, jak zapewne wyobrażały go sobie - autor, organizatorzy oraz przybyła publiczność...

Stachura, jako poeta był wówczas w środowisku lubelskim właściwie zupełnie nieznany. Jedna publikacja w „Sztandarze Ludu” w listopadzie ubiegłego roku stanowiła tyle, co nic. Mało, kto więc pokwapił się na imprezę, na którą trzeba było maszerować przez cały skuty mrozem i zavalony śniegiem Lublin. Na dodatek organizatorzy przedobrzyli sprawę: przewidując niewielką frekwencję, postanowili „napompować” salę, sprowadzając jakoś, wycieczkę kombatantów wojennych, czy też starszych wiekiem nauczycieli, zwiedzających Stare Miasto.

Kto zna pierwsze utwory Stachury oraz jego wyjątkową drażliwość na temat własnej poezji i własnej osoby, może sobie wyobrazić jak ów wieczór wyglądał... Dopóki jeszcze Stachura czytał swoje wiersze, wszystko szło gładko. Burza wybuchła dopiero wtedy, gdy zaczęła się – przewidziana „porządkiem dziennym” – dyskusja. Dość powiedzieć, że wywody dyskutantów przyzwyczajonych dotąd głównie do odbioru utworów Marii Konopnickiej, czy Teofila Lenartowicza, były druzgocące. Sted - do żywego dotknięty - przebił obecnych argumentem, iż jeśli w ogóle zniżył się on, Poeta, do poziomu obecnego na sali audytorium, to tylko ze względu na honorarium, które jest mu niezbędne dla zapłacenia za obiad i butelkę wina, i że dyskutować dalej nie ma zamiaru! O reszcie - lepiej nie wspominać.

Do końca akademickiego roku 1958/59 Stachura chyba już niczego więcej na łamach lubelskiej prasy nie wydrukował.

### **Zbliżała się letnia sesja egzaminacyjna**

Miała ona dla Stachury finał bolesny. Oblał egzamin z etyki u ks. prof. Olejnika. Poszedł na ten egzamin, nieprzygotowany, a że jeszcze zachowywał się podczas zdawania nonszalancko i był wobec egzaminatora zbyt pewny siebie, skończyło się to w ostateczności „zawaleniem” przez niego roku.

Pierwszego roku studiów nie można było repetować. Nic natomiast nie stało na przeszkodzie, aby jeszcze raz starać się o przyjęcie na pierwszy rok romanistyki. I Stachura tak właśnie zrobił. Zbyszek Domarańczyk zaśmiewał się do rozpuku: „Ty wiesz, jaki Sted

numer wykreślił? Złożył jeszcze raz papiery, poszedł na egzamin, no i musieli go przyjąć. A co mieli zrobić, jak posiał ze znajomości języka wszystkich kandydatów, a pewnie by zagiął i niejednego wykładowcę!”

Przy składaniu papierów na studia musiał Stachura załączyć także, jak tego wymagał przepis, „własnoręcznie napisany życiorys”. Brzmiał on następująca:

„Urodziłem się 18.VIII.1937 r. w Pont-de-Chérury (dep. Isère) we Francji. Dzieciństwo miałem spokojne i piękne. Kiedy miałem 7 lat, śniło mi się, że posiadam zdolność lotu. W tym czasie zacząłem uczęszczać do francuskiej szkoły elementarnej i sny zaczęły się zmieniać jak nowe obrazy w fotoplastikonie. Drugą wojnę światową pamiętam tylko ze smaku czekolady, którą obdarowywali nas Amerykanie. Pamiętam jeszcze pająka na szafie naszej piwnicy, w której musieliśmy się ukrywać przez dwa tygodnie.

Kiedy miałem 11 lat rodzice doszli do wniosku, że należy opuścić słodką Francję i powrócić do jeszcze słodszej Polski. Nie rozumiałem jeszcze wtedy słowa nostalgia. Teraz dopiero rozumiem, ileż smutku się w nim zawiera. Z opowiadań i książek słyszałem dużo o wilkach grasujących w Polsce. W listopadzie 1948 r. przyjechaliśmy do Polski. Nie widziałem nigdzie wilków, ale nie mogłem się spodziewać, że tak małe będzie moje rozczarowanie.

Osiadliśmy się w ponurym miasteczku, Aleksandrowie Kuj. Było to kiedyś graniczne miasteczko i słynęło szeroko z przemytu. Tutaj skończyłem szkołę podstawową. Ponieważ wykazywałem wysokie zdolności, oddano mnie do „gimnazjum” w Ciechocinku, żeby zrobić ze mnie „inżyniera” lub „doktora”. Po trzech latach przenieśli mnie do liceum ogólnokształcącego w Gdyni, które ukończyłem i gdzie do tej pory otoczony jestem legendą, jak wyczytałem w tamtejszej szkolnej gazecie. Jeden rok, tzn. 1956, włączyłem się po Polsce, napotykając wszędzie ślady wilków, a nigdy ich samych. Potem zacząłem studiować filologię francuską na KUL-u. gdzie dobroć kilku osób wzruszyła mała do głębi. Studia przerwałem przede wszystkim z własnej winy, a może z winy wierności tradycjom moich wielkich „ancêtres”.”

Ten życiorys, nie - to piękne opowiadanie Steda, jest dla mnie jakby wstępem do tego wszystkiego, co miało się wydarzyć się w nadchodzącym, roku akademickim, gdy Edward Stachura zaskoczył wszystkich blaskiem i siłą swojej poezji.

W powakacyjnym, podwójnym 19-20 numerze „Kameny”, z 1-31 października 1959 r., ukazały się dwa wiersze Edwarda Stachury: „Pejzaż” oraz utwór bez tytułu ( „Osty nim dosięgły...”). Ale dopiero w następnym, 21 numerze, z 15 listopada, pojawiła się jego proza poetycka – „Błogosławiona bądź, łaźnio!”. To piękne, krótkie opowiadanie, od czasu którego zacząłem w lubelskim środowisku spoglądać na Steda innymi oczami:

„Tak jak dworzec był moim nocnym zimowym hotelem, tak łaźnia przygarniała mnie dniem. Kiedy się nie ma tego, co wy, łaźnia jest instytucją nad wyraz gościnną. A jeśli jeszcze jest zima i zimno, i wiatr, i śnieg, i mróz, i zima bardzo, to trzeba błogosławić łaźnie i czynię to w tej chwili. Błogosławiona bądź łaźnio - hotelu przyjazny. Myłaś mnie, a kąpałaś, a grzałaś. Odnajdywałem u ciebie ciało moje i cieszyłem się nim, bo to jest złota żyła - swoje ciało. Błogosławiona bądź wieżo z kości słoniowej, błogosławiona dolino obiecana, po brudnych ławkach dworcowych każdego poranku obiecana. Ty znawca mnie dobrze, o pani dobra i pełna czułości...”

Nie wiem dlaczego Sted nie włączył później „łaźni” do żadnego ze swoich zbiorów opowiadań, dlaczego nie zauważyłem jej w pośmiertnym, pięcioletnim wydaniu jego utworów. Przecież ta krótka proza mówi o ówczesnym Stedzie prawie wszystko: o jego wędrownie nieustannej, o bolesnej samotności, na którą sam się skazał, o potrzebie ludzkiego uczucia, o jego swoistym mistycyzmie, wreszcie o tym narcyzmie, tak charakterystycznym dla Stachury-poety i dla Stachury-człowieka.

Cześć minionych wakacji spędził Sted na obozie lingwistycznym, zorganizowanym przez Katolicki Uniwersytet Lubelski dla studentów romanistyki.

#### **na podmiejskiej Poczekajce.**

Wchłonięta dzisiaj przez rozbudowujący się Lublin, położona w dzielnicy Węglin przy szosie krańcickiej, była w owych lotach Poczekajka cudownym, wiejskim azylem, pełnym zieleni, kwiatów, śpiewu ptaków. Na dawnej resztówce ziemskiej, należącej kiedyś do rodzin Andrzeja Struga, na skraju cienistego parku, w którym stał stary, drewniany dwór, wzniesiono dwa domy akademickie dla studentek KUL-u. Tymi domami oraz gospodarstwem rolnym zawiadywały Szare Urszulanki. (Nieco bliżej Lublina wznosił się niewielki klasztor Kapucynów z kościółkiem). Na Poczekajkę dojeżdżało się z rzadka kursującym, rozklekotanym autobusem miejskim linii „5”, ale najpewniej było przejść tych kilka kilometrów, dzielących poczekajski „akademik” od uniwersytetu, na własnych nogach. Podczas roku akademickiego odległe położenie Poczekajki stawało się dla studentek koszmarem, ale w lecie było tam wspaniale! Nic więc dziwnego, że Stachura, rozstając się po obozie z kolegami i z Poczekajką, wrzucił się do łez! Inna sprawa, że było to dla Stachury także pożegnanie z dotychczasowym „rokiem”, jego koleżanki i koledzy mieli od października kontynuować studia na trzecim semestrze a on „Villon” bo takie imię obrał na obozie, gdy prowadzący zajęcia l’abbé Prévost zaproponował, aby każdy z uczestników przybrał sobie jakiś „francuski” pseudonim, miał rozpoczynać studia od nowa wśród zupełnie nowych twarzy...

Sted wzruszał się łatwo. Ale nie było w tym cienia pozy. Jego kodeks honorowy – wiecznego wędrowca, księcia poezji, a może także jej błędnego rycerza – zakładał lojalność wobec przyjaciół, uczciwość wobec ludzi, prawdomówność i szczerłość. Młodzi lubelscy pozerzy spod znaku Eutetpe przelazili nocami przez mur cmentarza przy ul. Lipowej i nad grobem Józefa Czechowicza recytowali własne wiersze, rozpowiadając następnie o tym szeroko i długo; Sted także poszedł kiedyś nocą na cmentarz i na ten grób i spał na mogile Poety, „bombą rażonego w stallach”. Ale nie przyznał się nikomu. I dopiero po latach zwierzył się z tego na kartach „Wszystko jest poezją”.

Do ówczesnego obrazu Edwarda Stachury trzeba dorzucić jeszcze

### **kilka innych szczegółów.**

Po pierwsze fakt, że nigdy nie widziano go z dziewczyną: nie słyszano, aby z którąś umawiał się na randkę, by z kimś „chodził”. Nawet żadnej nie prosił do tańca na zabawach studenckich czy na dancingach w kawiarniach. Najchętniej siedział gdzieś z boku, przy stoliku, popijając wino. Jakby kobiety dla niego nie istniały. Jakby nic nie istniało poza pisaniem. Kiedy w 1961 r. ukazały się w „Twórczości” pełne żaru i tęsknoty „Listy do Olgi” były one dla wielu znających Steda prawdziwym zaskoczeniem.

Po drugie: śpiewanie. Bardzo chętnie brał do ręki gitarę: przy niezbyt wówczas wprawnym akompaniamencie śpiewał w gronie kolegów w „akademiku” piosenki francuskie, często te z repertuaru Pierre Brassensa. A także takie, do których już chyba wtedy sam pisał słowa i komponował melodię. Ale to nie były jeszcze te piosenki, które wiele lat później miały tak bardzo rozślawić wśród młodzieży imię Stachury – śpiewane przez niego samego w radiu warszawskim, a potem, po jego śmierci, przez wielu innych, lepszych nawet wykonawców.

Sted grał na strunach akord, odrzucał głowę do tyłu, przymykał oczy... Głos miał mało wyrobiony, ostrawy, momentami zawodzący. Widać było, że śpiewanie daje mu ogromną satysfakcję, ale... W tym śpiewaniu bardziej sprawiał wrażenie rozochoconego zabawą i winem villenowskiego rybałta niż trubadura. Dopiero później wszystko zmieniło się, nabrało miękkości i głębi, stało się stylem zupełnie samym w sobie, przekształciło się w to śpiewanie Stachury, które tak bardzo pociągało słuchaczy.

### **Po trzecie wreszcie: szachy i poker...**

Ilekoć wejdę do klubu „Pod Strzechą” przy Krakowskim Przedmieściu 32, ówczesnego klubu lubelskich stowarzyszeń twórczych „Noro” i pomyślę o Stedzie, zawsze widzę go siedzącego przy stoliku na samym końcu głównej wielkiej Sali, po prawej stronie, pod oknem na prawo od sceny, pochylonego nad szachownicą. I – w towarzystwie Zygmunta Mikulskiego.

Z „Mistrzem” łączyła Stada miłość do Poezji, ale także - do szachów. Owej „gry królewskiej”, jak zwykł podkreślać. Tkwili godzinami w milczeniu, zatopieni w grze, nie zważając zupełnie na to, co się dzieje wokół. A w „Norze” zazwyczaj działo się dużo i głośno, szczególnie podczas wieczorków tanecznych.

Z „Mistrzem”, który w szachowej materii posiadał szczególną wiedzę i umiejętności, Sted grywał na zasadzie: „sztuka dla sztuki”. Bo na co dzień, z innymi, zwykł grywać głównie „na forszę”. Po sto złotych od partii. Co zresztą, pod koniec lat pięćdziesiątych, było sumą całkiem niemałą. Pieniądze wygrane w szachy pozwalały mu przeżyć z dnia na dzień. Szczególnie - jeśli się nie miało żadnej pomocy materialnej z domu. A stypendium na KUL-u sprawdzało się do „akademika” i wyżywienia - bardzo wówczas, notabene, podłego - w studenckiej stołówce. Drugim źródłem zarobków, ale także namiętnością Stada, gra „wciągająca” - jak kiedyś napisał - w odróżnieniu od „gry królewskiej”, był poker.

Gra w pokera, środowisko jego amatorów, ale także i zawodowców, świat rozrzuconych po kraju nielegalnych „kasyn”, czy lubelskich melin, gdzie toczyły się rozgrywki, stanowiły tę stronę życia Stachury, z którą się nie afiszował i o której nigdy nie mówił. Także prawie o niej nie wspominał w swojej twórczości. Tam byli zupełnie inni ludzie, inne pieniądze do wygrania lub przegrania, inne obyczaje, tam było inne życie. Zbyszek Domarańczuk opowiadał mi, że Sted potrafił pojawić się jednego dnia na uczelni z kilkunastoma tysiącami złotych i pięcioma zegarkami w kieszeni ( były to, na ówczesne , studenckie wyobrażenia i możliwości, sumy wręcz zawrotne), a następnego dnia, po kolejnej pokerowej nocy pożyczał od kolegów na papierosy. Sam pamiętam moment, gdy Stachura – przyjechawszy już w późniejszych „warszawskich” latach do Lublina – telefonował z redakcji „Kamena” pod jakiś miejscowy numer, gdzie „szła gra”, mówiąc „szyfrem” na temat ewentualnego własnego uczestnictwa, i przedstawiając „rekomendacje” kogoś z Warszawy, znanego odbiorcy telefonu.

Opowiadano w studencko-artystycznym lubelskim świątku, że Sted nie tylko świetnie gra, (którą to umiejętność nabył podczas licznych wojaży po kraju), ale potrafi, gdy zajdzie potrzeba, równie dobrze „pomagać sobie” w kartach...

Moja osobista znajomość ze Stadem zaczęła się chyba właśnie w klubie „Nora”, przy kieliszku wina lub wódki, którą zresztą Stachura wcale, ale to wcale nie gardził. Wkrótce potem miałem go poznać także przy pokerowym stoliku, chociaż ja sam w karty nigdy nie grałem...

(cdn)

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 23, s. 3.